Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. No. 52. Leszno, dnia 26. Czerwca 1841.

Ogończyk.

1.

Cóż to się bieli po morawskich polach, czy stado gęśi, czy białych łabędzi? — Ani to stado gęśi, ni białych łabędzi, ale ciągnie ćma tatarska, a bielą wszyscy kożuchami. Zielone chorągwie z półksiężycem wiewają, a kmiecie uciekają w góry, uciekają w lasy, i z tamtąd patrzą drżący, jak płoną ich chaty, jak zagarnia sprosny poganin ich trzody.

Na wyniosłém wzgórzu stał zamek bogatego grafa Odrowąża, co miał za herb strzałę przez wąs przewleczoną; a przodek jego tym sposobem zdobył ten klejnot szlachecki: Byłto mąż sławny w Morawie; w cudzéj ziemi z poganinem o sztukę strzelał z łuku, potém z nim i zapasy chodził, i dziwnych sztuk rycerskich z sobą probowali. On poganin widząc, że nad morawskim rycerzem szczęścia i mocy nie miał, przed monarchą krainy swojéj (a znał łaskę pańską, dla tego, że mu się z każdym nieprzyjacielem fortunnie w potrzebach zdarzało), chcąc nad onym górę otrzymać, o szczudłki z nim przed cesarzem chciał czynić. Rycerz morawski, z gniewu, mając to sobie za zelżywość, uchwycił go za gębę, którą mu z wąsem i nosem oderwawszy, na strzałę wetknął i ukazał panu, który wzgardziwszy onym oszpeconym poganinem, dał rycerzowi za wieczny upominek strzałę przez wąs przewleczoną, i nazwał go *Odrzywąs*.(1) Odtąd były wąsy ze strzałą herbem téj rodziny, i poczęli się zwać Odrowąży. Herb ten zaszczytny zdobił bramę zamku grafa Odrowąża, co nachylony laty, cieszył się jedynem dziecięciem, piękną i urodną córą. Tatarzy w około puściwszy zagony, za sobą zostawiają łunę z pogrzeliska wśi i miast, przed sobą wyciskają jęk, łzy i rozpacz.

Drżący wieśniacy uciekają do zamku pana, donoszą o łupiestwach hordy; stary graf, nim pomyślał o obronie, nim naradę złożył, gołe szable ujrzał Tatarów w bramie: zginął ścięty — a urodną córę, chwyta poganin na konia, i unośi z murów zamku.

2.

Była na ów czas w Morawie zaciągniona rota polskich rycerzy, i właśnie nadciągnęła w tę stronę, gdy Tatarzy wpadli w zamek. Był w téj rocie rodzony Mazur, zwał się Ogon, dużego serca, i krwie gorętszéj od innych. Kiedy ujrzał, jak poganin porwaną dziewkę unośił, zwarł konia obiema ostrogami, i ścigał go noc całą. Nadedniem zwolniał w biegu poganin; Mazur dosiada na pięty: panna widząc odsiecz, wznośi obie ręce z rzewnym płaczem; spada z tułowu ścięta poganina głowa, koń wycieńczony staje. Wtedy zwycięzca przesadza brankę na swego bieguna, i do zamku czystą dziewicę przywodzi.

A w zamku, przy trupie starego grafa, wszędy radość; rota polska zniosła cały kosz tatarski; oswobodzeni jeńcy błogosławili, rycerstwo dzieli się łupem bogatym. Wtedy panna zdjęła pierśćień z ręki i złamawszy go na dwoje, dając swemu obrońcy, rzekła: „Święty aniele, bierz to na znak odemnie przysięgi, że twoją tylko małżonką zostanę.“(2)

Ogon był szlachcicem Mazowsza, wrócił z innymi do domu; upłynął rok potém; drugi i trzeci mijał. Grafówna myśli zadumana i mówi: „Już mój obrońca zginął, upominałby się ślubu i danego słowa, a może z inszą się ożenił; a mnie krzywdzą sąsiedzi, krewni, aby ojca włości odziedziczyć, mało mię nieotrują; wszyscy śmierci życzą, poddani brykają pod rządami



Herb Ogończyk.

(1) Herby rycerstwa polskiego Bartosza Paprockiego, w Krak. 1584. folio, str. 393.: „Nazwał go Odrzywąs, aż per corruptionem sermonis Odrowąż po ten wiek.“ Słowa Paprockiego.

(2) Herbarz Wacława Potockiego, folio, w Krak. 1696. Z tego herbarza wyjąłem treść, zachowując w całości niektóre wyrażenia.

panieńskiemi. Trzeba stan odmienić; jak zostanę panią, wszyscy inaczéj uważać mię będą.

3.

Rycerz Mazur siedząc doma, a znając obłudę niewieścią — sam choć rodu szlacheckiego, ale pachołek chudy, dziedzic na jednéj wiosce — nieufając obietnicy grafównéj, choć myślał o gładkiéj dziewce, nie ruszył do Morawy przez trzy lata. Aż w czwartym roku wieść mu przynoszą krewniacy z tamtych okolic, że już zmówiona bogatemu baronowi jego panna. Niebawiąc teraz Ogon dłużéj, przypasał szablę, wsiadł na konia i pojechał. Stanąwszy we wsi najbliższéj, niecišnie się na zamek, ale konia zostawia za wałem, i sam pieszo w grubém wchodzi odzieniu przez bramę. Spotkawszy starszego sługę, co przyjmował swaty barona, zawinięte półpierścienia z dijamentem wraz z listem pod pieczęcią przesyła grafównie, prosząc, aby to obejrzała i przeczytała, nim dojdzie wesele.

Starszy sługa myśli: „Kat ci wie, co może przesyła pani?" rozkazuje uwięzić przeto oddawcę, sam idzie do pani, donosząc, że jakiś Polak, bo snać to po odzieniu, prosił, ażeby przed ślubem raczyła rozwinąć pakiet i przeczytać, co napisano. Grafówna zaledwie zdarła pieczęć, ujrzy swoje pół pierścienia, każe więc prosić co rychléj Mazura. Staje przed nią nieśmiały, upadnie jéj do nóg, ta go podnosi, a prowadząc do komnaty, kędy sproszeni czekali goście, wskazując w grubém odzieniu rycerza, rzekła: „Żyje ten, który mi dał życie; przysięgłam mu wierność, dotrzymuję słowa, — on będzie moim małżonkiem."

Dziwią się wszyscy nagłéj odmianie. Przerażony baron w gniewie grozi, że utopi w nędznym cudzoziemcu żelazo. Dziewica na pogróżki odpowiada: „Daremnie wszystko; ślubu przed Bogiem złożonego nikt rozwiązać niepotrafi; gotowam wszystkie koszta zwrócić, — a pojedynkiem bić się nie umie słaba białogłowa."

Kiedy się Ogon dowie o tém, rozje się straszliwie: „„„Do mnie to należy,""" woła, „„„szlachcic jestem, mam wieś nie zagon, a jeżeli chce kupą bić się, żyją moi krewniacy, co dostoją mu pola; proszę tylko o miesiąc frysztu, nieomieszkam godziny, stanę pod zakładem. Jeśli chce w pojedynku utopić szpadę, niech wdzieje kirys, a ja ten sam kontusz włożę, w którym wtedy, gdy baron kędyś z ukrycia wyzierał, tę pannę pogaństwu odebrał: a wtedy zobaczy, czy mój falandysz (3) nie stanie za jego aksamit. Jeśli nie ma serca teraz, to za złą mowę, jak się rozgoszczę tutaj, przypomnieć mu niezaniecham."""

(3) Falandysz, falendysz, gatunek ciężkiego sukna holenderskiego lub angielskiego. Wacław Potocki (poczet herbów) mówi: „Za ciężki staropolski, choć trwały na szaty, porzucili falandysz."

Baron dostawszy odprawę od panny, widząc nieustraszonego Mazura, cicho zwionął z zamku. Grafówna stanęła ze swym rycerzem na ślubnym kobiercu, a kiedy posiadł jéj dobra, niedługo wszystkie posprzedawał i wyniósł się z Morawy do Polski. Ztąd herb Odrowążów, strzała w złamanym pierścieniu, a nad nim w hełmie dwie panieńskie ręce ku niebu podniesione, jakby wzywały ratunku; ztąd i sam herb zowie się *Ogończyk.*

Uwagi nad: *Wstępem do Chowanny, czyli systemu pedagogiki pana Bronisława Trentowskiego.* (1)

Szczególném ukontentowaniem przejmuje mię zawsze to wszystko, cokolwiek o Panu Trentowskim, prawdziwie znakomitym filozofie naszym, czytam lub słyszę. Jego szczytne pomysły, jego wzniosłe uwagi, głęboki szacunek wznieciły w méj duszy ku niemu. Jednakowoż z żalem uważałem to nieraz, że nasz pan Bronisław w swoich filozoficznych badaniach, ulegając panującemu nateraz w Niemczech systematowi filozofii Hegla, zabłąka się tu i owdzie w manowce zawiłych błędów, i je z szczérém przekonaniem za istną prawdę udziela. Dowodem tego są jego myśli, pod tytułem: „*Wyciąg ze wstępu do Chowanny, czyli systemu pedagogiki,*" umieszczone w czasopiśmie: „*Orędownik naukowy,*" w Poznaniu wychodzącém, z których szczególniéj Nr. 10 i 11 z Marca roku bieżącego, głębszego godne są zastanowienia, tém więcéj, iż pan Bronisław Nr. 11, str. 88 nam oświadcza, że właśnie przejęcie się do żywego chrześciaństwem, prowadziło nas do naszego systemu. Ja, nie jako ksiądz, ale jako zwolennik i miłośnik filozofii chrześciańskiéj, muszę temu twierdzeniu, z wszelkim dla pana Bronisława szacunkiem, najpokorniéj zaprzeczyć i oświadczyć, że filozofia chrześciańska całkiem inaczéj o początku złego, czyli o grzechu pierworodnym myśli, jak pan Trentowski, którego zdania filozof chrześciański nigdy nie potwierdzi, ale i owszem zwalić i usunąć obowiązanym się widzi. A więc do rzeczy: Jak tylko, po prostu mówiąc, do rozumu przychodzić zacząłem, ci, co mnie otaczali, uczyli mnie różnych wiadomości, odbierałem rozmaite wrażenia, te tkwiły w duszy mojéj, i stały się posadą moich umiejętności, poznałem poźniéj, że nie ja sam tylko tą postępuję drogą, ale że chociaż każdy człowiek jest z natury rozumną istotą, jednakowoż im więcéj człowiek wrażeń odebrał, im więcéj je przeniknął i niemi się przejął, tém się stał rozumniejszym, a przeciwnie znalazłem ludzi, którzy tak mało wrażeń otrzymali, iż ich rozum zupełnie był uśpionym, ich życie było zwierzęce, ich dusza całkiem prawie nieczynną.

1) Że pan Trentowski nie jest tak zasklepiony w swojéj jaźni (Ich), jak niemieccy filozofowie, n. p. Fichte, że racyonalizm z realizmem w sworniejszą zdołał ująć równowagę, niż sam Hegel; to już dostatecznie światu uczonemu znajomo; uchybia więc autor tego artykułu prawdzie, zaciągając pana Trentowskiego pod chorągwie Heglistów, ogłaszających tylko jak woźni sentencyą swego mistrza. Pana Trentowskiego system jest postępem w filozofii, w całkowitéj więc tylko całości, ceniony i zbijany być może, ale nie w urywkowych pojedyńczych zdaniach, zwłaszcza, gdy kto nawet metody jego rozkładowéj i składowéj nie pojmuje. Że jednak artykuł ten, do zbadania prawdy dążący, znamienuje samodzielny sposób widzenia rzeczy filozoficzny, Redakcya sądzi, iż działa w interesie nauki, kiedy go podda pod rozwagę Czytelników. (P. R.)

Wnosiłem więc z tego, że człowiek każdy, choćby największym zwał się filozofem, z niczego nic stworzyć nie może, ale jak ciało jego potrzebuje pokarmu, tak dusza potrzebuje wrażeń czyli nauki, i czym człowiek więcéj się nauczył, tym się stał rozumniejszym; słysząc o filozofach rozumujących samych z siebie, pomyślałem sobie, czemu nasz chłopek nie jest filozofem, jak Kant lub Hegel? czemu między Cyganami nieznajdzie Szellinga lub Fichtego? a gdy się spytałem drugich, odpowiedziano mi: bo się nie uczyli filozofii. A więc i filozofii uczyć się trzeba? Śmiano się ze mnie, że się o coś podobnego pytałem; ja się śmiałem z nich, że mi nazwali filozofią to, co nie istnieje między ludźmi. A więc niema filozofii na świecie? To pytanie spowodowało mię do badania natury człowieka, i myśląc nad tym, o następującéj przekonałem się prawdzie: Jest w utworze świata pewne urządzenie, nad którém mało się zastanawiają, a które w filozofii natury wielką gra rolę, nazwałbym je prawem upodobnienia (assimilacyi). Tą drogą przechodzi natura z stanu niedoskonałego do coraz doskonalszego, nareszcie do najdoskonalszego, jaki jéj jest dany, to jest: do poznania się i wolnego działania w zjednoczeniu z duchem rozumnym w człowieku. I tak roślina ciągnie soki żywotne z ziemi, te przymieniają się w jéj istotę, utrzymują byt jéj, i żywią jéj życie; ta roślina staje się pożywieniem zwierzęcia, i. przemienia się w niém w istotę doskonalszą, to jest w ciało zwierzęce, rośliny i zwierzęta składające pokarm człowieka, utrzymują życie jego, przemieniając się w nim w niegoż samego, gdyż ten chléb od człowieka pożywany, staje się w nim ciałem jego, to wiemy, tego nikt nie zaprzeczy. Wypływa więc, iż życie natury ciągłą jest dążnością do doskonałości, czyli do zrozumienia się, pełnią życia tego znajduje natura w zjednoczeniu się z duchem rozumnym, czyli w człowieku, a dostępuje tego, drogą wyżwskazaną upodobnienia, czyli doskonalenia się przez trawienie swych śił żywotnych w byt coraz doskonalszy. Podobném do tego życia natury jest życie ducha w człowieku. — Natura, w człowieku małżeńskiém ogniwem skojarzona z duchem, przybiera nową postać życia, i podziela odtąd skutki wynikające z życia duszy, jak żona podziela sławę lub niesławę męża. Życie ducha jest również dążnością do poznania siebie, jak życie natury przez wewnętrzną siłę sobie właściwą, w której jak ta przetwarzając się w coraz doskonalsze twory. jednak nie pozna siebie aż w złączeniu się z duchem, czyli w staniu się człowiekiem, tak i duch człowieka ograniczony, nie przychodzi do poznania siebie, to jest źródła i celu swego istnienia, aż w złączeniu się z Bogiem, duchem nieograniczonym. Tu dopełnia się cel istnienia człowieka. Natura w człowieku przychodzi do poznania siebie, swych własności, swych doskonałości; do poznania źródła swego istnienia, czyli Boga, Jego własności, Jego doskonałości. Bóg z wyrazem najdoskonalszym odwiecznej swéj myśli, czyli zupełnego poznania swéj doskonalszéj istności, to jest z Synem swoim i z wypływem najdoskonalszym,(2) także obopulnéj ku sobie woli - miłości, czyli duchem św. patrzy na przeciwpołożenie swego jestestwa, na poznanie swego nie ja, czyli na świat stworzony, na cały ogrom przeciwpołożenia swéj duchowności, czyli naturę. która na najwyższym szczeblu swéj doskonałości spleciona z duchem w jedno ogniwo w osobie człowieka, jak dziecie u stóp Ojca osiada, by odtąd słowem jego mądrości i doskonałości się karmić, ten pokarm w duszy swéj trawiąc, w swą istotę jego przemieniać, i tak z niewyczerpanego źródła, niewymownie więcéj znaczącego, jak ongi kastalskie wiecznie pijąc, Bogu wiecznie podobniejszym się stawać, aby jak w człowieku duch z naturą spojony, tak w Bogu istnienie i przeciwpołożenie istnienia Jego, Stwórca i stworzenie, w świętéj miłości wieczném kojarzyły się małżeństwem. Z tego stanowiska rzecz zważywszy, cóż jest filozofia? Jest poznanie swego istnienia i celu onegoż za pomocą wrażeń od Stwórcy stworzeniu bezpośrednio lub pośrednio danych; jest poznanie natury za pomocą wrażeń, które czyni; zbadanie śił jéj i sposobu władania nią; jest dążność do podobieństwa z Bogiem, w któréj stworzenie jako przeciwpołożenie Bóstwa dąży do stania się podobném swéj pierwoiści, (prototypon), to jest Stwórcy swemu, mocą trawienia, upodobnienia i przeistoczenia w siebie wrażeń, które odbiera jako duch i natura w odpowiednim stósunku, jak skreśliliśmy wyżéj; jest więc ostatecznie trawieniem pokarmu objawienia Bożego, zkądkolwiek pochodzącego, i przeistoczenia go w siebie mocą myślenia, do uczynienia go posadą i warunkiem dalszego samodzielnego życia duszy, które dopiero filozofią, w ściślejszém znaczeniu słowa, zowiemy. Jaki więc jest stósunek wiary do filozofii? Taki, jaki odbierania nauki do własnego nad nią badania. Człowiek, jako duch ograniczony, potrzebuje wpływu zewnętrznego, potrzebuje, jak rzekliśmy, pokarmu wrażeń do życia swéj duszy; a to przyjęcie wrażeń do duszy jest wiarą: w wierze przyjmuje pokarm podany, i ten jest pokarmem a nie trucizną. Przez wiarę dziecię poznaje rodziców swoich, jako rodziców, nieznając jeszcze tajemnicy rodzicielstwa; przez wiarę dziecię uczy się mówić, głoski poznawać, czytać i pisać, geografii i historyi, fizyki i astronomii, chemii i botaniki i t d., przyjąwszy dopiero ten pokarm w siebie, trawi go i robi się filozofem. Wiara więc jest posadą filozofii, czyli ja wierzę w Chrystusa, czy w Hegla. Między wiarą i filozofią nie jest więc ta różnica, iż pierwsza poddawać się powinna pod powagę Boga, druga powinna ją odrzucać, bo wtenczas filozofia byłaby niedorzecznością, pychą, krnąbrnością; ale w reszcie pozwoliłbym na to, iż wiara przyjmuje słowo Boże, i zaspakaja się już tam, iż tak Bóg naucza; filozofia zaś bada wyrocznie Boga, i jak najgłębiéj w nich się zatapia, trawiąc je, i w istotę własną przemieniając, nowego życia duszy czyni je posadą.

To skreśliwszy, wolno mi będzie pod krytykę podciągnąć następujące filozofii pana Trentowskiego wnioski: „Wiara jest tylko twierdzeniem, a myślenie jest przeczeniem tego twierdzenia.“ Wiara i myślenie są dwa odwieczne wrogi.(3) Ja zaś nierozumiem, nad czém ten może myśleć, kto niewierzy pierwéj, gdyż nad tém myśli, co uwierzył, tém więcéj, iż autor sam mówi daléj: „Wierzyć bowiem musisz powadze zmysłów twoich i t. d.“(4) A wiem z doświadczenia, iż ci ludzie, którzy zwykli przeczyć tylko, co drudzy twierdzą, nic nie wierzą wprawdzie, ale też i nic nie myślą, sąto bydlęta.

„Skrusz pęta ograniczonego bóstwa w twym wychowańcu, o ile tylko zdołasz, i wypuść je jak jaskółkę lotną... Rzuć w bóstwo młode boskości najwyższéj życiorodną przyczynę.(5) Bóstwo in potentia przemienić w bóstwo in actu“ i t. d., sąto wyrazy, znamionujące obywatela Babilonu, którego burmistrzem teraz jest Hegel, którego ratusz nośi godło dane sobie przez męża w raju: „*Eritis sicut dii*,“ będziecie jak bogowie. Sąto żywe stwierdzenia grzechu pierworodnego, którego pan Trentowski dla tego nie rozumie, że jest zwolennikiem Hegla, że jest pantheistą; kto bowiem stworzenie jestestwem Boga bydź mniema, ten jest pantheistą, ten śpiewa hymn pierworodnego grzechu, ten nawet pojąć nie może, co jest złe, bo świat jest jestestwem Boga, a w Bogu nic złego być nie może, a więc niema złego. Tak mówi myślenie pana Trentowskiego Nr. 11,

(2 Gdy mówimy „najdoskonalszym,“ rozumiemy już tym samym osobistość tychże osób w jednéj istności, inaczéj niebyłyby „najdoskonalszemi;“ lecz jak w człowieku dusza i ciało jedną stanowią istotę, tak w Bogu te trzy osoby jedną są istotą.

(3) Oręd. Nr 10, str 76.
(4) Ut supra.
(5) Oręd. Nr. 11, str. 88.



str 81: „Bóg jest jako najwyższa doskonałość i odwieczna krynica wszelkiéj doskonałości, bezwarunkowém dobrem, wszystko zatém, w czém się on objawia, lub téż wszystko, co stwarza, (6) jest w gruncie świętym, nim samym, a więc także bezwarunkowém dobrem. Bóg może być tylko zdrojem bóstwa (to prawda, ale nie w Babilonie) i t. d. Bóg, jako *dusza świata*, jako niewidzialny atlas natury, jest bytem it. d. Dobre jest, złego niema, i być niemoże.“ Obywatele Jerozolimy niczém się tak niebrzydzą, jak pantheismem; mają wstręt instynktowy od niego, uważają go za najokropniejszy skutek pierworodnego grzechu, za źródło wszelkiego bałwochwalstwa, za straszną klęskę przyćmienia rozumu ludzkiego. Ile to filozofia w Niemczech nienapsuła głów i papieru nad Ich und Nicht-ich, nad Selbstbewußtsein des Ich, welches zugleich das Bewußtsein des Nicht-ich ist. Skutkiem poznania swego *ja*, jest poznanie swego *nie-ja*; skutkiem poznania swéj doskonałości, jest poznanie przeciwpołożenia swéj doskonałości. Natura w swym ogromie jest przeciwpołożeniem niezmierzonéj Boga duchowności; świat duchów ograniczonych od człowieka zacząwszy, który spaja świat natury i duchów, jest przeciwpołożeniem nieograniczoności ducha Bożego, to jest zaród stworzenia, tajemniczy dla nas, jak tajemnicze jest rodzicielstwo dla dziecka; a karą Bożą za porzucenie wiary, która Boga jak najtroskliwiéj dzieli od stworzenia, jest pantheism.

Teraz możemy już pomówić o początku złego, o grzechu pierworodnym.

Gdyby kto z nas był wtenczas w gronie Cherubów, jak natura zakwitła człowiekiem, pogladnęła po sobie, dopięła rozumu i wolnéj woli, możeby sobie następujące zadał pytania: Jakież teraz będzie życie natury? dążność jéj tworząca znalazła cel swój, i przeto skończyła się, zapadł sabath — zaczyna się nowa jéj epoka, epoka duchownego istnienia. Ale jakie będzie to istnienie; jakie użycie jéj rozumu i wolnéj woli? Czyli uzna się natura być stworzeniem uległém Stwórcy swemu, żoną kochającą męża, i od niego wzajemnie kochaną? Czyli zaślubi się z Bogiem wiecznym sakramentem, poprzysiągłszy mu wolnie posłuszeństwo, z pełnoufnéj miłości wynikające? Czyli może przeciwnie, rozpatrzywszy się w sobie, zacieknie się w pychę, jak Anioł czart, i zerwawszy węzeł miłości ku Bogu, własne samo w sobie zechce Bóstwo tworzyć? Jedném słowem, czyli natura z własnéj woli stanie się dobrą, czyli złą? Dobrym być znaczy bowiem u nas, odpowiedzieć celowi istnienia swojego; złym być, znaczy nieodpowiadać przeznaczeniu swemu. To tak wielkie, tak stanowcze pytanie, musiało się rozstrzygnąć wolną samodzielnością człowieka. On musiał odpowiedzieć na to, czy uznaję w Bogu źródło swéj doskonałości, lub nie? Wolna jego wola otwierała mu dwie drogi: jednę, posłuszeństwa dziecięcéj miłości ku Bogu, najdoskonalszéj istocie, wiodącą go, że tak rzekę, do serca Bożego, do tajni najzupełniejszego w nim uszczęśliwienia, miłości oblubieńców (*canticum canticorum*); drugą, usunięcia powagi boskiéj nad sobą i rzucenia się w odmęt samowolnego doświadczenia rzeczy. Stać na miejscu niemógł, musiał więc udać się w którąkolwiek stronę, musiał sam sobie wybrać drogę: a to było koniecznością moralną, niejako samodzielném urodzeniem duchowném człowieka, czyli przyjściem do poznania samego siebie (zum Selbstbewußtsein). Tu miał się zawrzeć związek sakramentalny, a oblubienica miała rzec wolne słowo oblubieńcowi swemu, czyli chce z nim wejść w związek małżeński, lub nie. Przykazanie zostało dane: „Z owocu drzewa tego nie będziecie pożywać.“ Znaczenie jego jest: Naturo! z zarodu istnienia twojego jesteś mi uległa, gdyż ja jestem sprawcą bytu twojego; a ty człowiecze, władający naturą, niejesteś udzielnym jéj władcą, gdyż z nią do mnie należysz; a twe życie, w którém się znamienuje życie natury, ma być mi samowolną ofiarą miłości, wywzajemniającéj miłość moją ku tobie. Drogę doskonałości i szczęścia w duchowném pożyciu z Bogiem (oglądaniu Boga) i w władaniu naturą, już poznał człowiek, gdyż w tym stanie zostawał w raju, od drogi przeciwnéj ostrzegł go Bóg, grożąc mu śmiercią, którą mógł widzieć na zwierzętach, których byt nie jest pełnią życia natury, jak było istnienie człowieka przed grzechem, lecz zawiązek (*stadium*) dążności do życia doskonałego.

Bóg sam może świat zniszczyć, i drugi wystawić;
Lecz bez naszéj pomocy nie może nas zbawić.

Mówi jeden z naszych poetów. I niemógł Bóg człowieka uszczęśliwić, gdy człowiek samowolnie odrzucił to szczę-

(6) Stwarzać u pantheistów rozumi się tak, jak jabłoń stwarza jabłka, lub jak Chrześcianie rozumieją w Bogu, iż ojciec od wieków róźnego sobie syna rodzi.

ście. Wypowiedział uległośćświętéj miłości temu, który go stworzył, który mu dał istnienie, zerwał stósunek z Bogiem, zerwawszy owoc z drzewa. Dla czego? Ponieważ dążąc do doskonałości, uznał w Bogu istotę swéj doskonałości zazdrosną, do tego stopnia, iż ta jedynie z chęci trzymania człowieka w ślepém posłuszeństwie, fałszywą mu wskazała doskonałości drogę, by niedopuścić go do należnego mu prawa, równego sobie w niepodległéj szczęśliwości istnienia. Wszakże nie co innego znaczą słowa czarta węża poduszczającego, któremu Adam dał wiarę: „Bynajmniéj nie pomrzecie, wie bowiem Bóg, iż którego dnia pożywać będziecie z niego, otworzą się oczy wasze, i będziecie jak bogi, wiedzące dobre i złe.“ O gorzko przyszło człowiekowi wiedzieć złe, nie już na powagę wiary w Boga, ale z własnego na samym sobie doświadczenia! Nie chciał więc uznać Boga za źródło swéj doskonałości, ale spuścił się sam na siebie, sam chciał być sprawcą swéj przyszłości, poszedł drogą własnego doświadczenia. To jest początek grzechu, jaki tak „n i e u c z o n a t e o l o g i a“ opowiada, jak i najuczeńsza filozofia musi uznać za jedynie prawdziwy, ponieważ jedynie przekonywający, a co „n a n i e u g i ę t y m g r z b i e c i e p i s m M o j ż e s z a s p o c z y w a,“ (Nr. 10, str. 76) to jest słowem Boga, prawdą, potępiającą wszelkie inne twierdzenia, jako niedorzeczne błędy. W rzeczach natury panuje siła ciężkości, w duchownym świecie panuje siła następności (*consequentia*), na poznaniu téjże buduje się logika, matematyka, geometrya, jak na poznaniu siły ciężkości wszelki mechanizm. To jest prawem nieodzowném w świecie natury, drugą tajemnicą jéj życia. Następność więc idzie za popełnionym czynem, co raz się stało, jest niecofnioném, jak Bóg jest niezmienny, jak wszelki płacz nie powróci do życia zabitego człowieka. Na téj następności polega także przekonanie nasze o wszelkiéj prawdzie. Albo drogą myślenia z wiary wynikłego, dostępujemy prawdy, albo drogą doświadczenia boleśnych skutków błędów. Ta druga droga stała się naszym udziałem, naszą puścizną po ojcach. W takich stósunkach przyjęliśmy życie, i gniewać się na to, byłoby tak niedorzecznem, jak gniew pasterza, że się nieurodził następcą tronu; jak gniew Araba, że się nieurodził Francuzem; jak gniew murzyna, że się nieurodził białym człowiekiem; jak gniew Żyda, że się znalazł członkiem pokolenia rozproszonego po świecie, niemającego ojczyzny. Dzieje rodu ludzkiego są tylko jedną tkaniną ludzkich czynów i ich następności, i najlichszy człowiek najmniejszego nie zdziała czynu człowieczego, któryby niemiał wpływu na całość rodu ludzkiego, i nie wywarł skutków na potomstwo; kto tego nierozumie, ten niezrozumie nigdy dziejów naszego plemienia.

Siłę następności już wniosek rozumu naszego nam wskazuje, że gdy człowiek zerwał stósunek z Bogiem, przeciął przeto żyłę żywotną, wiodącą mu istotny życia duszy jego pokarm; a czyż to jest dziwną rzeczą, że najmęłniejszy i najtroskliwiéj wykształcony człowiek, jeżeli strwoni majątek i dzieciom żadnego nieda wychowania, zostawi ich w stanie prostactwa i żebractwa? Oddzielony człowiek od Boga zbłąkał się sam w sobie, zbłąkał się w naturze; dusza jego zwiędła, zaledwo korzeń jéj pozostał; uczuł całą niedołężność swoją i niemoc władania naturą, która nieczując więcéj dzielności wodza nad sobą, dzikie swe siły jak rozhukane konie rozwarła, i zrzuciwszy człowieka z rydwanu władztwa, swemi kopytami tretować go poczęła: człowiek z Pana natury stał się jéj niewolnikiem, zepchnięty w rząd bydląt, uczuł jéj przewagę i sprzeczność w własném ciele: „I p o g l ą d n ę l i A d a m i E w a p o s o b i e, i w s t y d z i l i s i ę.“ Nareszcie do tego stopnia przyszli ludzie, iż widząc siłę natury niepodległą od siebie, uwielbili ją, zrobili ją bóstwem swojém, a zapoznawszy Boga prawdziwego, którego tylko wspomnienie w nich pozostało, modlili się do niéj, zostali p a n t h e i s t a m i, bałwochwalcami. Już odtąd człowiek niewładał naturą, ale natura jego owładła; nie on już był jéj prawodawcą, ale ona jego zrobiła poddanym praw swoich, i przeto wtłoczyła nań pęta śmierci. Jakim człowiek sam się stał, takie też rozpłodził potomstwo, takimi ludzi na całym obszarze ziemi znajdujemy po dziś dzień. Z otrętwiałością duszy, aż do bydlęcéj nawet dzikości, z nagięciem woli do przeznaczenia pomysłowi Bożemu, czyli z skłonnością do złego, do tego stopnia, iż mogły się znaleść przysłowia, jak n. p.: „Nikomu niewierz, nikt cię nie zdradzi.“ Czemuż państwa i narody zbrojno przeciw sobie stoją? Czemuż strumienie krwi ludzkiéj każdy zakątek ziemi naszéj zbroczyły? Czemu nasze domy obwarowane są zamkami i kłódkami? Czemu więzienia, czemu zbrodnie? zkąd tak powszechne zepsucie? Na te i tysiąc podobne: czemu? odpowiada grzech pierworodny. Czemu człowiek wstydzi się swego istnienia, i okrywa, po prostu rzekłszy, swe grzeszne ciało? Czemu płomień wstydu, czemu najgłębsza tajemnica zakrywa pochodzenie człowieka? Bo ciało przeczy duchowi w człowieku. Czemu człowiek umiera, to jest: czemu dusza gwałtownie odrywa się od ciała? Czasem po chwilowém nawet tylko połączeniu? Czemuż śmierć nieustannie chłoszcze ród ludzki, łzy żalu i boleści wyciskając pozostałym? Czyliż rozumem obdarzony śmiertelnik nie jest z tego względu daleko nieszczęśliwszym od bezrozumnego zwierza, które znika z oblicza ziemi, nie żyjąc w trwodze śmierci, nie zostawiając po sobie boleśnego wspomnienia? To wszystko jedynie wytłumaczyć zdoła grzech pierworodny.

Co jest złe? To, co nieodpowiada swemu przeznaczeniu. Jeżeli więc człowiek w dzisiejszém swém istnieniu stoi w sprzeczném położeniu do przeznaczenia swego, jest złym, a ponieważ to złe odziedziczył wraz z życiem, więc jest w stanie grzechu pierworodnego. Lecz jakimże to odziedziczył sposobem? Tą samą tajemniczą drogą, jaką w naturze wszystko się dziedziczy; jako wilk dziedziczy swą drapieżność, lub grzyb leśny swój jad trujący. Gdy więc natura uniosła, czyli racéj zepchnęła człowieka w rząd zwierząt i zrobiła go niewolnikiem tych praw, które nią ślepo władają, tém samém już wpędziła go w konieczność dziedziczenia następności grzechu. I tym sposobem człowiek, więzień natury, ślepo podlega jéj prawom. Szczęściem dla człowieka, że dusza jego, choćby i na najniższym stała wykształcenia stopniu, jednakowoż nie podlegając, jak ciało, prawom natury, poznaje to częstokroć, że ciało sprzeczną idzie drogą, i wstydząc się wielu rzeczy, które rozum czyli sumnienie za nieodpowiednie uznaje, walczy z ciałem, i stara się duchowi zwycięztwo wyjednać.

Lecz pozwólmy, rzeką przeciwni, że dziedziczą się skutki, jakiémże prawem dziedziczy się i wina? Wszakże mogą dzieci lub prawnuki nawet, jak najniewinniéj dziedziczyć skutki winy ojców lub pradziadów? Prawda, lecz jeżeli w rząd tych skutków policzone także być musi usposobienie duszy, do odpowiednego ojcom błędnego działania, lub fałszywego sposobu myślenia, któż się znajdzie, ktoby nie przyznał, iż ci ludzie dziedziczą winę swych ojców? Dozwólmy n. p., iż Jezus jest jedynym, prawdziwym Zbawcą rodu ludzkiego, a Mahomet błędną ogłosił drogę zbawienia, i rozkazał zwolennikom swoim wytępiać ród chrześciański; czyliż ci wszyscy, którzy prawymi zwolennikami Mahometa po dziś dzień zostają, niedziedziczą winy Mahometa? Czyliż nie są współwinowajcami błędów jego i fanatyzmu? oni są członkami Mahometa, pełniącemi wolę jego; oni noszą jego piętno, jego winę, jakby grzech pierworodny na sobie.

A z tego względu rzecz zważywszy, cóż to ma znaczyć, że się n i e k a r z e k o w a l a z a ś l u s a r z a? (7) Gdy niedawno temu walczono przeciw Mehmedowi Alemu w Syryi, on mieszkał w Alexandryi w Egipcie, ale go zwyciężali w Syryi. Jakto? Tak, iż każdy żołnierz, który nosił na sobie cechę Mehmeda Alego, był uważany jak Mehmed Ali; uderzano na niego, jak na Meh-

(7) Oręd. Nr. 10, str. 77.

meda, gdyż on i Mehmed, choć dwie fizycznie różne osoby, moralną składały jedność. Tu muszę przydać, iż mnie niezmiernie zadziwia, jak można głęboko filozofując, tak płytkie robić uwagi.

Ostatecznie więc odpowiadam panu Trentowskiemu na jego twierdzenie, „że grzech z człowieka na człowieka przepływający, nie da się pojąć, skoro istotnie myślimy, (7) iż da się pojąć, skoro istotnie myślimy.

Co pan Trentowski mówi o Sicińskim (Oręd. Nr. 10, str. 77), jest wielkiéj dla nas uwagi: „Każdy oburza się, słysząc n. p. imię Sicińskiego, syn, wnuk i prawnuk takowych ludzi nosi na sobie piętno niesławy“ i t. d., ale aby z tego niemożna wniosku czynić na grzech pierworodny, przydaje zaraz: „Niech młody Siciński jaki, przeciwnie dobrym czynem zmaże zbrodnie przodka, a nazwisko jego będzie znowu słodką dla ucha harmonią.“ Ta uwaga jest kolumną do łuku tryumfalnego dla religii chrześciańskiéj, zostawiam to do głębszego rozmyślenia panu Trentowskiemu samemu, czyniąc go tylko na to uważnym, aby zamiast pierwszego Sicińskiego położył w dziejach rodu ludzkiego, Adama, zamiast drugiego zaś, Chrystusa, a zrozumi dzieło odkupienia.

Uwaga zaś pana Bronisława, że złe nie jest istnieniem, tylko uwłoczeniem istnienia, nie jest prawdziwym bytem, „tylko pozorem bytu, tylko ułudą krótko widzącego rozumu, przesądem,“ jeżeli się z resztą tylko porozumiemy, stanie się dla nas tak obojętną, jak obojętnie słuchałbym rozprawiającego nad tém, czyli mróz, śnieg i lód w zimie są istnieniem, lub tylko pozorem, uwłoczeniem, ułudą istnienia właściwego życia natury; przyznałbym prawdę obudwom stronom, ale może prostak jakiby się znalazł, któryby pana filozofa w zimie na trzaskający mróz wysadziwszy, szydersko się pytał, czy tam mróz istnieje rzeczywiście, lub nie? Rozprawiajcie sobie, czyli złe jest istnieniem, lub pozorem istnienia, ale pomnijcie, że krew płynie, i łzy cieką w ludzkiém plemieniu.

Przebaczyć atoli niemogę rozumowaniu temu: (8) „Każde złe ma dobre swym jędrem, jest przeto dobrem istnie, złem tylko z pozoru, dobrem w oczach mądrości, złem dla głupoty.“ Tak rozumując, czyliż niemógłby sprawiedliwie rzec zbójca, który osierocił syna, zabiwszy mu bogatego ojca: Głupi niewdzięczniku, i ty jeszcze niepoznajesz, jak dobrze uczyniłem? czyliż niezrobiłem cię dziedzicem majątku, na który możebyś długo jeszcze musiał czekać, lub który winnych śmierci ojca stósunkach, wróżne oprócz ciebie poszedłby jeszcze ręce?

Zkądże więc złe pochodzi? Pan Trentowski tak odpowiada na to (Oręd. Nr. 11, str. 85): „Zawarowanie i ograniczenie Bóstwa jest opaleniem lotnego piérza jego boskości, czyli *możnością* stania się niebóstwem;“ a str. 86: „Zawarowanie i ograniczenie dobrego Bóstwa w człowieku, bez którego Bóstwo to nigdyby się stać człowiekiem nie mogło, jest naszym grzechem pierworodnym.“ Lecz pan Trentowski sam przyznał, że to ograniczenie jest możnością stania się niebóstwem, to jest po naszemu grzeszenia; wypływa więc, iż człowiek może grzeszyć, ponieważ jest ograniczonym, ale od możności do rzeczywistości, czyliż wolno wnioskować? wszakże jedna z pierwszych głosek abecadła filozofii jest: *A posse ad esse non valet illatio*. Lecz tu jest mowa o rzeczywistości grzechu i skutkach jego; jeżeli zaś tak to rozumieć mamy, iż człowiek musi grzeszyć, ponieważ jest ograniczoną istotą, natenczas między bydlęciem i człowiekiem jaka będzie moralna różnica? Jak można człowiekowi co poczytać za złe, kiedy ograniczność jego zmusza go do tego? Któż mi za złe poczyta, iż snu potrzebuje, dla ograniczoności sił moich? Dla czegoż więc złodziéj kradnie? dla czego oszust łudzi? dla czego zbójca rozbija? Odpowiedź: bo są Bóstwem ograniczonêm!!! — Kończąc me uwagi nad wstępem do pedagogiki pana Trentowskiego, zastanawiam się jeszcze nad jego główną zasadą, iż wychować młodzieńca znaczy: „jego Bóstwo *in potentia*, przemienić w Bóstwo *in actu*.“ To ubostwienie człowieka, z zasad Hegla wynikające, przez pana Trentowskiego przyjęte, bardzo mi przypomina pewnego parobka ze wsi, który przyszedłszy do miasta z listem do jednego pana, w przysionku pokoju oczekując odpowiedzi, poufale przypatrował się papudze w pięknéj klatce bawiącéj się, w tém ta odzywa się do niego: Dzień dobry! dzień dobry! Mój poczciwy parobek natychmiast pokornie cofnął się pode drzwi, i z przeproszeniem rzekł: „A ja myślałem, że jegomość ptak.“ Tak też panowie filozofowie. Niеminęło jeszcze pół wieku, jak człowieka w rząd małp policzyli, ale zaledwo spostrzegli się, iż człowiek przecież mędrzéj od małpy żyje i działa, natychmiast cofnąwszy się pokornie zawołali: „Bogiem jest człowiek.“ Ja atoli po prostu mówię: Nie rób z niego Boga, lecz rób z niego człowieka według woli Boga, któryby za pomocą Chrystusa wyzwalając się z pierworodnego grzechu, wzrastał w doskonałości, i starał się odzyskać swe pierwotne stanowisko. Ucz go więc prawdziwéj filozofii według ducha Bożego, ucz go ile możności zgłębiać naturę i jéj siły, aby odzyskiwał utracone nad nią władztwo, i użył je na dobro swoje i bliźnich, a dopełnisz obowiązku pedagoga.

Tarnow, 6. Czerwca 1841.

X. *Waleryan Serwatowski.*
Professor Teologii w Tarnowie.

(7) Oręd. Nr. 10, str. 77.
(8) Oręd. Nr. 11, str. 83.

Kukułka.

(Dokończenie.)

Jak w téj pieśni w kukułkę córka przemieniona żali się przed matką, tak Słowianie w swoich pieśniach chcąc ciężką boleść matki, siostry i żony wyrazić, uniesieni czystą, nadpradziadowską fantazyą, postać im kukułki nadają, i jéj głos żałoby. Kładziemy tu obok dwie pieśni, serbską i ruską, i ujrzem jak dotąd jeszcze jeden duch stary ożywia całą słowiańszczyznę.

1.

Trzy kukułki.

(*Pieśń serbska, przekład Augustyna Bielowskiego.*)

Jan altaną przechadzał się z rana,
Załamała się pod nim altana;
Złamał rękę, potłukł białe barki,
Udano się do sławnéj lekarki,
Do mieszkanki borów Wili (1) młodéj,
Lecz ta wielkiéj żądała nagrody.
Prawéj ręki żądała od matki,
A od siostry uplot włosów rzadki:
A od żony sznur pereł maleńki.
Matka białéj nie żałuje ręki,

(1) Wila jest tém u Serbów, czém u Rusi Rusałka; częste jéj stósunki z ludźmi opiewają rozliczne pieśni Serbów. Różnica między Rusałką a Wilą ta zachodzi, że pierwsza często ludziom zadaje zagadki, a nieodgadujących łaskotaniem zabija; Wila lubi śpiewać, a niecierpi lepszych od siebie śpiewaków, i gdy który z zuchwałych poważa się piękniéj śpiewać, zabija go strzałami. Nadto prócz innych przymiotów, jakie jéj lud serbski przyznaje, zna się na ziołach, i posiada sztukę leczenia.

A za matką daje włosy córka:
Lecz dadź niechce żona pereł sznurka.
„Nie dam pereł, niech mnie Bóg ukarze,
„Od ojca je odebrałam w darze "
A więc w rany Wila rozgniewana
Wlała jady, i otruła Jana.

* * *

Trzy kukułki kukają nad strugą:
Jedna kuka dniem i nocą długą;
Druga w wieczór, i z jutrzenką białą;
Trzecia kuka i rzadko i mało.
Ta, co kuka dzień w dzień, co godzina,
Jestto matka, co straciła syna;
Ta, co z wschodem i zachodem słońca,
Jestto siostra po bracie płacząca;
Co się kiedyś niekiedyś odzywa,
Jestto Jana żona czarnobréwa.

2.

Trzy kukułki.

(*Ruska duma z Pokucia.*)

Oj wyletył sokił ta z lisa na pole,
Oj sił sobi sokił na wysoki-j hore:
A z hory połetył na wysoku sosnu;
Witer powywaje, sosna sia chylaje.
Ne chylaj sia sosno,
Bo i tak mene toskno.

* * *

Oj wdaryła stryłka z wysokoho neba,
Koho-ż ona ubyła? Wdowynoho syna:
Nyma komu daty — do matynki znaty,
Szczoby pryszła maty — syna pochowaty.

* * *

Oj nadłetiło, dwi, try, zazulenki,
Wsi try prośiweńki,
Ta wsi try smutneńko.

* * *

Oho! odna upała po konec hołowki,
A druhaja upała po konec nużeczok,
A tretaja upała po konec serdeńka.

* * *

Po konec hołowki — mały starenka,
Po konec niżeczok sestryczka rydneńka,
Po konec serdenka, to jeho myłeńka.

* * *

Hde matyńka płacze — kerwawaja riczka,
Hde płacze sestryca, kerwawaja kernyczka,
Hde płacze myłeńka, suchaja steżeńka.

* * *

Bo neńka płacze wid roku do roku,
A sestryca płacze kilko sy z hadaje;
A myłeńka płacze, inszu hadku maje,
O innym hadaje!

W obrzędach weselnych pannę młodą na Rusi galicyjskiéj porównywają z śiwą kukułką, a młodzieńca z śiwym sokołem.

Sywaja zazuleńko,	*Siwa kukułeczko,*
Ne litaj raneńko,	*Nie lataj raniutko,*
Na jaru pszenyczeńku;	*Na jarę pszeniczkę;*
Bo tam na tebe	*Bo tam na ciebie*
Sywy-j sokił zasiede,	*Siwy sokół zasiędzie:*
Zhlane tia oczeńkamy,	*Dojrzy cię oczkami,*
Pijme tia kryłońkamy,	*Schwyci cię skrzydełkami,*
Zanese w temny lisońki,	*Zaniesie w ciemne lasy*
Meży czorny hałońki,	*Między czarne kawki.*
Tam budesz kowały,	*Tam będzieć kukać,*
Nikomu ne słuchały!	*Ni komu słuchać.*
Krasnaja Maruneńko,	*Krasna Marysieńku*
Ne wychody raneńko	*Nie wychodź raniutko*
Na nowe pidsineńko:	*Na nowe przedsienie,*
Bo tam na tebe	*Bo tam na ciebie*
Sam korol zasiede,	*Sam król zasiądzie:*
Zhlane tia oczeńkami,	*Dojrzy cię oczenkami,*
Woźme tia ruczeńkamy	*Weźmie cię rączkami,*
Do czużoji storonońki	*Do cudzéj strony,*
Do czużoji matońki;	*Do cudzéj matki,*
Tam budesz płakaty,	*Tam będziesz płakać,*
Ni komu pożałowaty!	*Ni komu pożałować.*

Tu znowu (jak na Pokuciu) drużki wystawiają w postaci kawek (hałoczki) a matkę (domacha) za kukułkę.

Letiły hałoczki w try radoczki,
A zazula popered;
Wsi hałoczki na łuhach siły,
A zazula na kałyni;
Wsi hałoczki zaszczebetały,
A zazula zakowała.
Ide domacha po peredi,
A wsi drużoczki za neju;
Wsi drużoczki po ławkach siły
A domacha na posadi,
Wsi drużoczki zaśpiwały,
A domacha zapłakała.

Tu także kukułka kując w ogrodku panny młodéj, przychyla główkę do listka i smutnym głosem, tajemnicę żałobnego zwiastuje losu w przyszłém pożyciu.

Kowała zazuloczka w sadoczku,
Przychylywszy hołowoczku k' łystoczku;
Szczoż ona kujuczy kazała:
Szo ne bude u swekrochy tak jak w maty mała,
Szo ne bude na tanoczok puskały,
Jeno bude w chati derzały.

Kukułka jest zwiastunką wiosny i zapowiada lato: dla tego w pieśniach Mało-Rossyan, noszących nazwy *Wesnianki*, jako wróżka téj pory jest wspominaną.

Wesnianka.

Rozłyły sia wody
Na czotyri brody;
U perszoma brodi
Sołowejko szczebetaw,
Zełeny sady rozwywaw:
U druhomu brodi
Zazulka kowała
Liteczko kazała,
U tretiemu brodi
Konyczok zarżaw,
Win dorożenku poczaw;
A wczetwertim brodi
Da diwczyna płacze,
Za neljuboho iduczy,
Swoje łycho czujuczy. (2)

Te wyobrażenia są czysto słowiańskie i najdawniejsze; w starożytnym rękopiśmie królodworskim widzimy, jak kukułka żałuje, że nie zawsze lato.

W sirém poli dubec stoii,
Na dubii zezhulice.
Zakukáse, zaplakase,
Że nenié vezdy iaro. (3)

(2) Zbiór pieśni małorossyjskich M. Maksimowicza. — Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego Wacława z Oleska.

(3) Kralodworsky rukopis Wacława Hanky, w Praze 1829.

Jest zwyczajem na całéj Rusi i Małorossyan, że młodzież pyta kukułkę o swój los, usłyszawszy pierwszy raz kukanie, którem niby odpowiada. W następnéj pieśni dziewczyna zawiedziona na téj wróżbie, przeklina kukułkę, by przez siedm lat nie kowała, że jéj prawdy nie wyznała.

Pryletiła zazuleńka	*Przyleciała kukułeczka,*
Z temnoho lisoczku;	*Z ciemnego lasku;*
Siła, pała, zakowała	*Siadła, padła, zakowała*
W zelenim sadoczku.	*W zielonym ogródku.*
O jak wyszła Maruseńka,	*Oj, jak wyszła Marysieńka,*
Wnei zapytała:	*Wnet jéj zapytała:*
„Skaży myni zazuleńko	*„Powiedz mi kukułeczko,*
„Dowho budu w bat'ka?“	*„Długo będę u ojca?“*
Zazula.	*Kukułka.*
Budesz myła Maruseńko	*Będziesz, miła Marysieńko,*
Sej deń do weczora.	*Ten dzień do wieczora.*
Dziewczyna.	*Dziewczyna.*
Bodajże ty zazuleńko	*Bodajże ty kukułeczko*
Sim lit ne kowała,	*Siedm lat kowała,*
Szczo ty myni mołodeńki,	*Co ty mi młodziutki*
Prawdy ne skazała.	*Prawdy nie mówiła.*

Błądzi Kozak młody po bezdrożach i po kniei, i pyta kukułki, by mu wskazała drogę do rodziny i do wiernéj dziewczyny. Tkliwie ją zaklina i prosi o to, a użalona ptaszyna zadosyć czyni Kozaka prośbom. Przytaczamy mały wyjątek téj dziwnie pięknéj pieśni ludu.

Przybłudyw-śia aż do haju,	*Przybłądził aż do gaju,*
Do szyrokoho Łimanu;	*Do szerokiego Łimanu;*
Staw koneńka napawaty,	*Począł konia napawać,*
Staw płakaty i rydaty:	*Począł płakać i żądać;*
Stała Zazula kowaty ..	*Poczęła kukułka kukać:*
„Zazuleńko! moja neńko! (matko)	*„Kukułeczko, moja matko!*
Zakuj myni żałibneńko!	*Zakuj mi żałobneńko,*
Jak u sadu sołowejko,	*Jako w sadzie człowiek,*
Sołowejko malesenkij,	*Słowiczek maleńki:*
Skaży myni sju dorohu,	*Wskaż mi tu drogę,*
Kudy jichaty do rodu!	*Kędy jechać do rodu!*
Oj! do rodu, do rodyny,	*Oj! do rodu, do rodziny,*
Do wirnenkoj-i diwczyny.	*Do wiernéj dziewczyny.“*

Kiedy mężny wojownik po świetném zwycięztwie poległ co:

„Sim połkiw wbyw,
Za wosnym połkom hołowka zschyływ.“

Nad ciałem jego:

Zazula litała, nad nym kujuczy,
A konyky rżały, joho wezuczy.

Ruś ma przysłowie, na co niepodobnego, że to się stanie, jak wzimie zakuka kukułka (zazula).

I w polskich pieśniach ludu widzimy, jak kukułka jest znamieniem głębokiéj boleści i rozpaczy. Braniec tatarski, wydarty złona rodziny swoiéj i ojczyzny jéj, głosem narzeka:

Siedzi sokół na topoli,
Płacze Jasio w niewoli,
I tak żałośnie huka,
Jako kukułka,
Jako kukułka
W zielonym gaju kuka.

Kiedy dziewczyna próżno czeka na lubego młodziana, słysząc kukułkę, z jéj głosu smutną przepowiednię sobie wróży.

Jak w pieśniach ruskich kukawka ma głos człowieczy, tak matce, co szuka próżno syna, opowiada jego przeznaczenie.

Kukułka siadła na drzewinie,
Na czerwonéj kalinie;
Główkę w listek przytuliła,
Tak do matki przemówiła:
„Już nie siędzie Jaś za stołem,
Płacze Kasia za sokołem,
Jaś twój z wojny nieuciecze,
Ot po szabli krew mu ciecze,
I wzięlić go na mary,
Zabili go Tatary.“

Boleść matki, kiedy się rozdziela z córką, określają głosem kukułki, jak w téj weselnéj pieśni:

Moja mateńka, moja rodzona!
Tak płacze i czuje,
Jako kukułka, jako kukułka
W zielonym gaju kuje.

Na Rusi, gdy pannę młodą sadzają już za stół; swachy w śpiewie wzywając ją w grono mołodic, radzą wianek na kołku zawieśić, i połączyć się z nimi, bo u nich góry złote, a trawka na łąkach jedwabna. Ale chór dziewcząt, niechcąc puścić dziewicy, odpowiada im pieśnią:

Buła tam zazuleńka,	*Była tam kukułeczka,*
Widiła wona toje:	*Widziała ona to:*
„Wsiuda ja obletiła,	*„Wszędzie ja obleciała,*
Zołotych hor ne widała:	*Złotych gór nie widziała:*
Wsiuda hory kamenj-i,	*Wszędy góry kamienne,*
Trawońky zełeny-i.“	*Trawki zielone.“*

Tak w Polsce, jak i na Rusi, wspomnienie kukułki pobudza pannę młodą do łez rzewliwych, szczególniéj, gdy zaczną nucić pieśń następną, którą w obu narzeczach lud polski i ruski śpiewa:

Zakowała zazuleńka u lisi na dubi,
Zapłakała diwczynońka u cerkwi pry slubi.
Oj, nepłacz diwczynońko, dobre tobi bude,
Umyjesz si słożenkami, choć wody ne bude!

Widzieliśmy przeklęctwo dziewczyny, którą zawiódł w nadziei głos tego ptaka; musimy tu wspomnieć o ruskiéj pieśni, w któréj kukułka przepowiada powrót lubego, i ta się wróżba uiszcza.

W zielonym gaju kuka kukułka,
Poszła dziewczyna rwać tamój ziele,
I jęła hukać po rosie.
„Czegoś dziewczyno tak rano wstała,
Wpierwéj ty hukasz, niż ja kowała.“
— O mnie kukułko serce się kraje,
Patrz, jak gołąbek a w parze grucha. —
„Niechaj to ciebie nie martwi wcale,
Bo twój mileńki już się powraca.“
Skoro dziewczyna weszła do chaty,
Słyszy, że do drzwi kochanek puka.

Zazula jest ptakiem opiekuńczym sieroty; onato dobrym i czułym krewnym i powinowatym, przylatając, opowiada ucisk i niedolę, jakowéj doznaje. Jeżeli taka sierota idzie za mąż, posyła wronę po rodzinę, a kukułkę do grobu ojca.

Piszlu woronu	*Poszlę wronę*
W cużu storonu,	*W cudzą stronę,*
Po swoju rodynojku.	*Po swoję rodzinę.*
Piszlu zazulu	*Poszlę kukułkę*
Wseruju zemho	*W surową ziemie,*
Po swojeho batejka.	*Po swego ojca.*
* † *	* † *
Worona łetyt,	*Wrona leci,*
Wisty prynosyt:	*Wieści przynosi:*
„Bude tu rodynojka."	*„Będzie tu rodzina."*
Zazula łetyt,	*Kukułka leci,*
Wisty prynosyt:	*Wieści przynosi:*
„Ne bude tu twij batejko."	*„Nie będzie tu twój ojciec."*

W pieśniach nawet obżynkowych kukułka kuje i kopy rachuje. Na Rusi czerwonéj dotychczas wróżba, że kiedy we śnie kto zobaczy ze swego domu ulatującą kukułkę, to umrze mu małżonka albo narzeczona.

O tym ptaku między ludem polskim i ruskim istnieje podanie, że w grubéj jesieni odrastają jéj pazury, i zamienia się w jastrzębia. Na Pokuciu Ruś utrzymuje, że zazula w góry karpackie ulata na zimowisko.

Wersal.

(Dokończenie.)

Licha zapłata, jaką król za obstalowane do Wersalu obrazy zwykł ofiarować, podwójną przynosi szkodę. Najprzód napełnia historyczne muzeum niegodziwą bazgraniną; powtóre oswaja artystów z niegodnemi ich pęzla dziełami, do bezwstydności, że tak powiem, ich zaprawia.

Każdy z lepszych malarzy, gdy się nie może wymówić od nakazanéj pracy, gdy bocznemi wiedzion względami, podejmuje się zadania, jakby z łaski biorąc paletę, co najprędzéj rad ją porzucił; myśli tylko o sławnych godzinach i pod wpływem takiego natchnienia śpieszy do końca. Szczęśliwy, gdy umieściwszy u spodu swe nazwisko, tym sposobem okupując mierność roboty, zaniesie ją do Tuileryów, by się co prędzéj, sam pierwszy przed kolegami z niéj wyśmiał.

Powód śmiechu, choćby z własnego dzieła, zawsze miły dla Francuza. Ale tym sposobem artysta obojętnieje na odgłos téj sławy, którą sam dobrowolnie kaźi; jedna się z myślą, że jego imie może być przesłane potomności, obok niegodnego pęzla płodu; swą kunsztowną dumę traci, i zapał tém samém przygasza. Tak oziębiony artysta, stępiwszy najostrzejszy swój bodziec, przeistacza się niebawnie w rzemieślnika; już tylko dla lepszego zysku stara się swe prace wykształcać, i wspomnieniem jedynie dawnego natchnienia utrzymuje swą sławę dla korzyści.

Z tego punktu uważane Muzeum wersalskie szkodzi raczéj, niż wzbogaca kunsztowniczą Francyą.

Prócz rzeźb i obrazów, zamek wersalski posiada teraz innego jeszcze rodzaju pamiątkę, o któréj niegodziłoby się zamilczeć. Wskrzeszono tam bowiem sypialnią Ludwika XIV. podług zaręczenia przewodników, taką, jaką za czasów swych była, i z tychże samych utworzona ozdób.

Łóżko, jak wiadomo, rozmaitemi kolejami przeszłe w ręce jakiegoś amsterdamskiego Żyda, wykupione za restauracyi było. Baldachin jego, pawilon i pokrycie, wszystko z gobelinowéj tkaniny, swą wypłowiałością o dawności istnienia twierdzą. Cały pokój bogatym i starym adamaszkiem pobity, balustrada zaś w około łóżka, klęczniki i krzesła, starożytnéj roboty, lecz świeżo odzłocone, psują teraz nieco swą błyskliwością harmonią wrażenia; lecz czas tego naprawić nieomieszka.

Tam dwie Madony, z któréj jedna zupełnie Rafaelskim wdziękiem się odznacza, i jak mówią, jego pęzla, z całego wersalskiego zbioru, najpiękniejszém jest kunsztu dziełem.

Należy mi tu jeszcze wspomnieć o dwóch galeryach; lubo już wprawdzie one do pamiątek nienależą, i elegantkom raczéj niż artystom zdają się przeznaczone, zasługują wszakże na uwagę. Jedna z nich teraźniejszego króla nazwę nosi (*galerie de Louis Philippe*).

Przecięta dwa razy w długości pięknemi kolumnami, odznacza się szklanném pokryciem, przez które światło mile w nią spływa. Ściany i tam jeszcze osłonione obrazami historycznemi niepospolitych wymiarów, równéj wszystkie wielkości i wartości prawie równéj, a lubo widać pare pięknych Vernetów, milsze tam jednak zajęcie znajdzie młoda pani, co śliznąc się po lustrownéj posadzce, wyobraźi sobie, jakby się tam lekko walcowało, niż surowe artysty oko.

Druga snadniéj jeszcze wykwintne uczty na myśl przyzywa. Różnobarwnemi wizerunkami zmęczony wzrok w niéj przynajmniéj spocząć może.

Prócz pięknego sufitu, dawnego stylu, z rozkazu cesarza odnowionego, nic tam do kunsztu pretensyi nie rości. Jedna strona z dużych półłukowych okien światłem ją napełnia, druga, ze zwierciadeł, naśladujących okna, je odbija. W przerwach okien i zwierciadeł duże świeczniki z globusami lampowemi prześliczny czynią efekt. Jest ich tam pięćdziesiąt i dwa, i należą do głównych ozdób teraźniejszego Wersalu.

Wchodząc do téj pięknéj galeryi, zawołałam, że tu dopiero poznać się daje monarchiczna ręka odnowiciela zamku tego. Przedtem bowiem wszędzie przebijające się, jakiéjś niewczesnéj oszczędności ślady, tak nieharmonizujące ze wspomnieniami Wersalu, wzniecają myśl, że chyba jakiś spekulant tę restauracyą przedsięwziąść musiał. Pożałowałam wyrzekań moich na to skępstwo, co najpiękniejszy pomysł psuje, co zawsze obok prawdziwie pięknego przedmiotu, coś nędznego mieści, lub coś, co tylko udaje, że piękne. Tak uderzywszy

się w piersi, już miałam *mea culpa* wyrzec, gdy przysunąwszy się do tych królewskich kandelabrów, w tył się raptownie cofnęłam. Jakież niebyło podziwienie moje, kiedym się przekonała, że zamiast z bronzu, z drzewa są wyrobione; że piedestały zamiast marmuru, na wzór okiennic szynkowni paryzkich pomalowane, niezgrabnie tylko marmur udają!... Na teatralne dekoracye doskonałe świecidła; lecz komużby mógł przyjść pomysł, użycia ich na ozdobę głównéj sali monarchicznego zamku, zamku wersalskiego!

Zła nawet dla przyszłości rachuba; bo gdyby przyszło kiedy je na licytacyą oddać, żadnaby kawiarnia paryzka nabyć ich niechciała.

Takim jest teraźniejszy Wersal. Nie trzeba jednak wnośić, że to nowe jego przeznaczenie odjęło mu dawnego osierocenia wyraz. Żeby te gmachy ożywić, żeby im dawne ruch i świetność wrócić, trzebaby wskrześić dawne burbońskie dwory, ubiegłe powrócić czasy. Każda inna jak tu dworzańska złocista ludność, nieprzypada do Wersalu, i ma tylko przechodniéj minę. Ci zaś, co zwiedzają codziennie Muzeum, tak giną w tych niezmierzonych galeryach, iż zdarzyło mi się z licznem towarzystwem przepędzić tam dzień cały i wcale się niespotkać z równie liczną gromadą znajomych, także dnia tego historyczny zbiór zwiedzających.

W miasteczku restauracye i oberże się podniosły. Ogród zawsze pusty, zawsze głuchy, jakby płakał swéj przeszłości, smutne sprawia wrażenie. Słowem, jak przed kilku laty, tak i teraz możnaby porównać Wersal do staréj, opuszczonéj faworyty królewskiéj, która postradawszy swe bogactwa, zastąpiła je jakiemiś świecidełkami, w fałszywe ustroiła się klejnoty.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)